

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

W Królestwie i Ces. 4 r. rocznie,  
w Galicyi 10 koron.

Adres redakcyi i administracyi:  
Warszawa—Al. Jerozolimska, 49.  
Kraków—Zybkiewicza, 8.

Eliza Orzeszkowa.

## BÓG WIE KTO.

(rok 1863).

— No, kiedy pan Burakiewicz, to nic wcale ta wizyta nas nie obchodzi. Z widzenia go tylko znamy i to—rzadkiego. Sąsiad, ładny majątek w pobliżu ma, ale panują jakieś tam przeciwko niemu uprzedzenia. Ważne to, że, niezbyt dawno w strony te przybyły, krewnych ani dawnych znajomych tu niema. Obcy i—Bóg wie kto. Ale ważniejsze jeszcze, że towarzyska strona jego niezmiernie wiele podobno do życzenia pozostawia. Elegantem podobno chce być i raz do kościoła przyjechał, tak obficie jakimś okropnem perfumami oblany, że pewna sąsiadka nasza, osoba słabowita i wielce trefna, zemdląła i z ławki kościelnej spadła, a modlący się gdzieś w pobliżu marszałek Boniecki tak się rozkichał, że aż mu nos nieco spuchł. Napoleona III-go stale podobno nazywał Bonapart, na istnienie końcowego *e* w tem nazwisku na żaden sposób zgodzić się nie chcąc, i często-gęsto do mowy swej dyabła mięszał, jako to: Pal go dyabli! Niech go dyabli porwą! Dyabli wiedzą, co to znaczy et c. I „szelmę“ także mięszał. Ktoś słyszał go mówiącego: „dyabli wiedzą, co ten szelma Bonapart dla nas za pazuchą swoją chowa“, a raz zapytany, jak mu się jakaś panna podoba, odpowiedział: „śliczna szelma, jak sto dyabłów!“

Człek tedy niewykształcony i nieuobyczajony prostak. Ekonomiczny syn podobno, czy coś podobnego. Bóg wie kto. Ale myśmy o tem wszystkim ze słyszenia tylko wiedzieli. Z interesami tu i owdzie przyjeżdżał czasem, lecz tylko przez gospodarzy domu przyjmowany, gospodyniom ich nigdy przedstawianym nie był. *N'étant pas présentable*, do towarzystwa nie należał. Ale też można było powiedzieć, że się do niego wcale i nie garnął. Bezzenny, niemłody, żył na stronie, nikomu się nie narzucał, spokojnie sobie starzejąc i siwiejąc, gdyż, parę razy spostrzegłszy go w kościele i poblizkiem miasteczku, wiedzieliśmy, że ma srebrną siwiznę na głowie i wokół twarzy. A twarz ta, mocno rumianą cerą właśnie do nazwiska mu przypadła, dwojgiem tylko oczu bardzo błękitnych i błyszczących wśród czerwoności ogólnej świecąca. Było to tak zupełnie, jakby kto w ciemności burak wprowadził dwie od rosy błyszczące niezapominajki i wszystko razem na srebrnej kądzieli położył.

Nic wcale tedy nie obchodziło nas to, że p. Burakiewicz za interesem jakimś zapewne do gospodarza domu przyjechał i szyliśmy dalej, w robocie i milczeniu po-

grążone, gdy nagle głos na uroczystą nutę nastrojony wymówił.

— Memento mori!

To Oktunia, ręce na kolana opuściwszy i żalonym wzrokiem po nas wodząc, słowa te pogrzebowe wymówiła i dodała.

— Jak w klasztorze, gdy na Silentium zadzwonią...

— Jak u kamedułów, — szepnęła Stefunia.

— Dla czego nie rozmawiamy? Rozmawiajmyż!

Aha? Dla czego nie rozmawialiśmy! Łatwo to powiedzieć: rozmawiajmy! Kiedy ręce niewprawne coś z wielkim staraniem i najmniejszym zapalem robią, usta aż oddymają się lub aż zaciskają się z gorliwości, z wysilenia, a głowa im słów żadnych nie podpowiada.

— Przeczytajmy cokolwiek!

— Niech kto głośno poczyta!

Dobrze! Ale w takim razie jedna para rąk od roboty się oderwie. No, niech tam! Godzinkę jaką, dwie—para rąk popróżnuje, za to innym przyjemniej pracować będzie.

Skoczyłam do sąsiedniego salonu, wzięłam ze stolika ogromnie wówczas czytowaną, rozrywaną broszurę, w której Edmund Abont dokonywał nowego podziału Europy i wyznaczał w nim szerokie miej-

sce Polsce wielkiej, potężnej, niepodległej. Powszechnie utrzymywano, że pisarz ten był powiernikiem, zausznikiem cesarza franc. Napoleona III-go i że, jakby p. Burakiewicz powiedział, Bonapart ten sam mu ją podyktował. Więc kombinacje polityczne szerokie i głębokie, zakreslanie nowych wcale granic państwowych, całkowite przemałowanie mapy europejskiej—i kolorem najróżowszym z różowych wymalowana na niej przyszłość Polski. A kiedy *Bonapart* tak myśli, takie układa plany i żywi pragnienie, to już najpewniej tak się stanie, koalicja państw zachodnich na rzecz naszą się zawiąże i wszystkie te zmiany, drogą pokoju albo drogą wojny, przeprowadzi. I trzeba tylko, abyśmy sami rąk i serc nie opuścili, abyśmy w mężnej walce nie ustali, abyśmy jej sztandar jaknajdzielniej, jaknajwytrwalej rozwijali, — a Zachód z pomocą nam przyjdzie i tryumf sprawiedliwości, wolności, tryumf Polski, która od tak dawna za dwie te idee cierpi i walczy, radosne surmy i trąby, rozgłosne hymny i peany, na wszystkie cztery strony świata rozgłoszą. Tak pisał na rozkaz podobno pana swego zausznik i powiernik Bonaparta. A gdy słowa pisania tego, żywym głosem odczytywane, rozlegały się po różowym pokoju, Boże! jaką radością skakały nam w piersiach serca, jakie gorące hymny i peany wyśpiewywały wiośniane nasze głowy! Na cześć wspaśniałomyślnego i rycerskiego świata, na cześć Bonaparta i sprzymierzeńców jego, na cześć blizkiego, niezawodnego, ogromnego tryumfu Polski, hymny i peany wyśpiewywały głowy wiośniane i wrzące serca nasze...

A że potem te głowy i serca—tak zwiedzione! — przez życie szły i do mogił doszły, na świat i ludzi przekleństwa nie rzuciwszy — dziw!

Lecz wtedy — kiedy walce tej świętej i tak przez obcych nawet podniecanej dopomagać—to dopomagać, ze wszystkich sił, każdą krwi kroplą, każdą iskrą ducha! Cała krew nasza i cały duch nasz rwały się, pędziły do — dopomagania i szczęśliwe czyniłyby wszyst-

ko... Ale tymczasem nie jeszcze do czynienia nie było, oprócz szycia.

Więc słuchając pieśni słynnego francuza, cudnej pieśni, z wężowej gardzieli płynącej, szyłyśmy, szyły, szyły, czasem lżę rozrzewnienia z rzęsy ocierając, czasem twarze z nad roboty podnosząc i porozumiewawczo zamieniając się zachwycenemi, rajskiemi uśmiechy.

Nagle — w drżący często od wzruszenia głos czytającej, w wymowne słowa francuzkie wpadło podniesionym głosem wymówione jedno tylko słowo polskie.

— Zabrakło!

— Jezus Marya! Krzyknęłyśmy wszystkie i, zerwawszy się na równe nogi, otoczyłyśmy Czernisię, od której wyszło to słowo fatalne.

Z długimi, cienkimi ramionami, wzdłuż figury długiej i cienkiej opuszczonemi, stała Czernisia zasmucona, zmięszana, a my, oniemiały zrazu z konsternacją, zalamywałyśmy ręce lub z desperacją niosłyśmy je ku głowom.

Więc tedy zabrakło!

— Do ilu zabrakło?

— Wykroiliam siedemdziesiąt ośm... już przy końcu coraz węższe, węższe paski kroiliam...ale, Panie Boże ratuj!... więcej nie wyszło. Do dwudziestu dwóch zabrakło!

Kłęska nie tak ogromna, jak przepowiadała Marylka, jednak kłęska.

Panie Boże ratuj! bo innego ratunku znikąd nie widać.

Chyba do panów pobiedz i prosić, błagać, aby coprędzej do miasta posłali, do tego dalekiego... Ba! czasu za mało... za mało... i jak tam jeszcze sprawi się ten posłaniec...

Niech która z nas sama pojedzie!

Łatwo powiedzieć! Każdej coś na przeszkodzie stoi i zawsze ten czas, ten czas! Lada dzień przecież wszystkiego od nas zażądać mogą, a tu — nie gotowe! Stefunia mówi, że od męża swego wie, że lada dzień... a kiedy naczelnik organizacji tak mówi...

Bieda! gorzka nawet bieda! Takiej drobnostki nawet nie móż porządnie zrobić! Wstyd! Wiemy, że winy w tem naszej niema, jed-

nak wstydzimy się czegoś... może złośliwe żarty mężkę z roboty niewieściej przeczuwając.

Kiedy tak biedujemy i środki ratunku wymyślamy, żadnego wymyśleć nie mogąc, drzwi od pokoi dalszych uchylają się nieco i przez wązki otwór nieśmiało zrazu wygląda utrefiona ładnie głowa Marylki Jaroszyńskiej, a potem wysuwa się ze szczeliny całkowicie, i dziewczyna, z filuternym jakimś ognikiem w oczach do różowego pokoju wchodzi. W miłości własnej trochę zadraśnięta, trochę może za drzwiami podsłuchiwała, jak sprawa z barankami się rozstrzygnie i co Czernisia o niej powie, a teraz weszła i zcicha, spokojnie, ale z czemś filuternem w uśmiechu i w oczach, mówić zaczęła.

— Proszę pań, przez przedpokój teraz przechodziłam i futro pana Burakiewicza widziałam... Takie śliczne baranki! Siwe takie, delikatne, od tych del katniejsze... śliczne!

Aż policzek na dłoń opuściła z podziwu nad ślicznymi barankami p. Burakiewicza.

A my na wieść tę aż zadrżałyśmy od srogiej, piekającej, od zjadliwej pożądliwości — czy zazdrości. Jeżeli jest na świecie oskoma moralna, tośmy wtedy napewno jej doświadczyły. Ot, człowiek szczęśliwy, który takie baranki ma!

— I całe takie futro barankowe ma? — głosami osłabłemi zapytujemy.

— Caluteńkie! — Marylka odpowiada, a filuterne ogniki w oczach aż żarzą się i uśmieszki po ustach jej — aż skaczą.

— Niech panie pójdą i zobaczą, że nie kłamię, — mówi.

To prawda! Żeby choć zobaczyć! Pójdźmy zobaczyć!

Wniosek uczyniony jest przez Wincusię, która z wielkimi nożycami w ręku nad stosem pokrojonych kaszmirów stoi, wszystkim swemi stalowemi szpilkami, broszkami, kłamrami błyska i wygląda bardzo energicznie.

— Pójdźmy zobaczyć! pójdźmy!

DCN.



# MARZYCIEL.

Garson we fraku już się kłaniał, podając długą, białą kartę.

— A Szato-Lafit jest?—wypominał wciąż tym samym płaczącym głosem.

Garson podał inną kartę, a młodzieniec zapatrzył się w przetrzeń i rzekł ponuro.

— Dobrze, tak podawaj stakan czaju s limonom!

Marychna wzgardliwie wzruszyła ramionami, garson osłupiał, a oni odmaszerowali równym, wymierzonym krokiem do bocznego stolika.

Józio parsknął śmiechem i podniósł się, bo już czas było na porządek. Gdy weszła jakaś para pod óżnych. Tragarz niósł za nimi wspaniałe walizy, Józio został jakby przykuty do miejsca tak go oczarowały: były płaskie, skórzane, okute miedzią na kantach i oblepione różnokolorowymi adresami hotelów. Spacerujące po sali, dojrzał coś, co go wprowadziło w osłupienie, że patrzył w zachwycie na ich cudaczne, szare palta, podobne do nocnych koszul, fałdzisto spadających do samej ziemi.

— Niesłychane! Nadzwyczajne!—kontemplował, a gdy zasiedli przy ogólnym stole do herbaty, krążył dokoła, pożerając ich oczami podziwu, nadto posłyszawszy, że mówią po angielsku, prawie zdrętwiał z rozkoszy.

— Angolicy! Prawdziwi angolicy!—opowiadał znajomym po sali.

A poczekalnia napełniała się coraz bardziej, gdyż na pośpieszny zbierało się codziennie całe towarzyswo z miasta, jakby na uroczyste nabożeństwo. Co chwila jęczały na podjeździe dzwonki sanek i ktoś wchodził do sali, co chwila rozlegały się głośnie powitania i wznosił się gwar rozmów i śmiechów. Przy bufecie zadzwoniły kieliszki, sapała pompa od piwa, i pan Marychna, świeżo upudrowana, z wypiętym dumnie gorsem, czujna na każde skinienie, bezustannie roz-

dawała wódkę, przekąski, czarujące uśmiechy, piwo i spojrzenia powłóczyście.

Zaś po sali roily się grupami wspaniale rozwinięte matrony, eteryczne dziewice, wiotkie podloty, zwycięsko podkręcone wąsy, dostojne brody i jeszcze dostojniejsze obwisłe brzuchy, obrzucając się nawzajem oczami i dyskretne, zjadliwymi uwagami.

Rozpuszczone szable tłukły się zuchwale po kamiennej posadzce, gdzieś tam wybuchły perliste śmiechy, z pod białych woali strzelały zabójcze spojrzenia, niepokojąco szeleściły jedwabne halki, powiewały fantastyczne pióra u kapeluszków, z wybielonych twarzy krwawiły się wyzywająco usta, gięły się smukłe figury, aż trzeszczały gorsety, i coraz częściej przelatywały jadowite słowa i dowcipy, gdyż grupowano się wedle stanowisk i wrogo, zgóry a niedbale, mierzono się oczami.

Mdły zapach perfum, cygar, zwietrzałego piwa i wilgotnej pary unosił się w powietrzu.

W sali zrobił się jakby wielki raut, że nawet dosyć liczni podróżni przesuwali się lękliwie pod ścianami zasiadając po kątach na walizkach i tłumokach, bo wszystkie krzesła i kanapy już były zajmowane przez dostojne towarzystwo, które, nasyciwszy się plotkami, zwróciło łaskawą uwagę na nieznaną parę, a po ścisłej lustracji, sama pani prezesowa zawyrokowała.

— Bardzo dystyngowani, muszą być z arystokracji.

— To są angolicy!—objaśniał Józio uniżenie.

— Jakaś lordowska para jakby z powieści Miss Crafford!—zauważyła prezesówna, wielce wykształcona na dodatkach powieściowych Bluszczu.

— Istotnie, nawet piją herbatę i jedzą chleb z masłem.

— We wszystkich powieściach angielskich wszyscy piją herbatę ze śmietanką i jedzą grzanki z masłem,—

wtrącił nieśmiało Józio, ale, spiorunowany wzrokiem prezesowej, cofnął się przerażony własną zuchwałością.

— On podobny do młodszego syna z „Jaskółki“ miss Braddon, pamięta mama? Ale to z pewnością jakaś romantyczna para!—szepnęła ciszej.

— Idzie pan Raciborski, to powie, z kąd się tu wzięli ci angolicy.

Ogromny, siwy szlachcic w szarej bekieszy, w szarej czapie i z czarnymi wąsami, groźnie sterczącymi, pocałował prezesową w rękę i mrknął zgryźliwie.

— Oni są tacy angolicy, jak ja Yorkshire!

Posypał się na niego grad pytań, przetrzymał misterną pauzę i rzekł ciszej.

— Ten lord—to Walek Miętus, syn mojego dawnego kowala!

Wszyscy osłupieli, tylko prezesowa upierała się przy swoim.

— Ale ona—to z pewnością jakaś lady, z pewnością...

— Ta lady Kaśka—to córka mojego kucharza! Romantyczne, co! Jak Pana Boga kocham, nie maluję, lecz mówię szczerą prawdę. Przyjeżdżali do rodziny, a teraz wracają do Ameryki. Znam ich oboje od pempciów. Temu lordowi nieraz, panie dobrodziejski, sprawiałem wnyki, aż trzeszczało, a lady pasowała nam gęsi! Jak Pana Boga kocham! Od bydła uciekł we świat, a teraz wielki pan. Chamy górą, niema co! Nie przystępuj bez kija...

A chociaż szlachcic znany był z koloryzowania, uwierzono mu jednak i, jakby mszcząc się za zawód, patrzano ze wzgardą na tę parę i odwracano się do niej plecami, a prezesowa powiedziała bardzo głośno.

— Naturalnie, byle parobek, jak ma pieniądze, może udawać lorda.

Tylko Józio ucieszył się z tego odkrycia i chciał się z nimi poznać, ale woźny przyleciał po niego i musiał iść do kasy.

I znowu stał przy swoim okienku, i znowu najrozmaitsze ręce wyciągały się po bilety, padały przedko nazwy stacyi, brzęczały pieniądze, trzaskał monotonnie stępujący aparat, i Józio znowu pracował, jak automat.

Nie miał nawet czasu wyjrzeć na pociąg, więc, załatwiwszy ostat-

nego pasażera, z przyjemnością przeciągał spracowane kości, gdy wsunęły się znajome ręce w pocerowanych, czarnych rękawiczkach.

— Słowo daję, nie miałem czasu wyjść po ciebie, — tłumaczył się skwapliwie.

Frania wsadziła w okienko twarz zarumienioną.

— A kuku! Mogę zostać, co? Spotkałam tych bubków z linii, powiedzieli, że pan w Warszawie, chcieli mnie zmanić do siebie, ale— niema głupich, mają na trzech jedną koldrę i dwa sienniki! Strasznie się cieszę, że pana zastałam!

DCN-

Zygmunt Bartkiewicz.

## 63.

*Nowela, którą dajemy poniżej, jest jedną z dwu inkryminowanych z tomu skonfiskowanego p. t. SŁABE SERCE, o które toczyła się w ubiegłym tygodniu sprawa sądowa, wytoczona przez prokuratorę. Wyrokiem sądowym nowela ta, mając świetnego obrońcę w osobie mecenasa Ad. Pełtowskiego, została z pod zarzutu całkowicie zwolniona, za drugą p. t. MATCZYNA DOLA autor został skazany na 10 dni aresztu. Ponieważ książka po wydrukowaniu była skonfiskowana i nowela ta nie została rozpowszechniona, dajemy ją obecnie, jako zrehabilitowaną, pewni, że obudzi ona zajęcie naszych czytelników.*

Lekka była zima 1863 roku, z czego dobre wróżby snuto, a choć ku wiośnie śniegi coraz szerzej z krwią ofiarną spływały, a od cichych chat i zgiełkliwych zaścianków coraz gęściej szły zawodzenia rzewne i groźne pomruki, — w dusznych ludzkich, obok dławionego bólu, wśród mroku żądź nienawistnych, rozblęśla nadzieja.

— Jeziorański w Rawie spalił koszary; pułkownik Kurowski z Sosnowca za granicę ich wygnał, zabrał kasę skarbową; u Białej Mamajewa zgnietli; Janów, Siemiaty, Pruzany — zwycięstwo!

I co dnia lecą wieści radosne. Od czarnych świętokrzyskich jarów, od błot augustowskich, zarosłych bagien Niemna i Bobrzy, od Kampinosa, Białowieży, lasów Ropockich, ponurych ostępów, bez drogi, bez wody, gdzie słońce nie zjawia się nigdy, gdzie spokój, zamarły od wieków, dzikiego zwierza nęci, a dokąd człowieka gna nieszczęście lub zbrodnia, — dziś złamta światła nadzieja, czar wyzwolenia i pijana, zuchwała, od od wszystkich uczuć silniejsza, pomsty radość.

Ale dziwna to radość: w oczach nie tli weselem, tylko brwi ściągają, a uśmiech, gdy kły białe odsłoni, zda się, że radeby one gryźć, szarpać — z uciechy.

— Pobili... nasi pobili! — huczy wieś cała po walce, od chaty do chaty głos leci, aż całą polską równinę ogarnie, huknie jeszcze po lasach, nad wodami jęknie, i zginie, gromem kłęski zgłuszony:

— Pod Węgrowem wszyscy

zginęli, Wąchock, Suchedniów — o, Jezu! i t. n., co wczoraj nie wierzył, zwycięstwu szyderczo urągał, chłop ukrzywdzony, dziś wobec nieszczęścia ryknął, jak zwierz, na kole grabowym kosę odwrócił, u skraju puszczy babę uściśnął, od czepiających dzieciaków otrząsnął:

— Z Bogiem, ostańta!

Ciemny bór zamknął się za nim.

I tak każdego zmroku, gdy u chat gospodarze radzą, kogoś zabraknie do rady, a kto raźniejszy, kto młodszy, zniecierpliwiony, rzuci:

— I dobrze, bo nie językiem nam trza wojować, ale z kosą iść.

Na to starsi, mądrzejsi:

— Iść — to iść, ale trza się przecie ugadać, nie bez rozumu kosić, ze wsi na zmarnowanie wynieść.

— Ale!...

I radzą.

Trwożnie, półgłosem, bo czas taki, że i w obejściu człowiek niepewny, czasem, choć swój, a gotów do zdrady.

— Cichaj ta!.. Idzie Grzybowski.

Grzybowski, chłop stary, pochylony, w barkach szeroki, jak tur, oczami tylko ich zmierzy i minie, ale raz — w sam środek gromady się wparł, siwą głową potrząsnął:

— Głupiecie wy moi! I wyśta, stary Drożdzie, głupi, i wy, Pękowski, i wy, Marcinie, głupi! Boita się mnie, a do panów, a do boru was ciągnie. Gorsze oni wrogi, jak tamte...

— A może i tak, ale...

— Nie może, a pewno, ja swój

chłop — i do was to mówię. Pół sta lat wojowałem bez mała — i co za to? Na polu bitwy rodziłem się, a kiej matka pod Maciejowicami zrąbanego oca poznała i u trupa z egła, już mi widno dla wojny się rodzić było pisane. I groblę pod Lipskiem ja widział, i pod O-trołęką bagnatami mię skłuli, a potem znów na Węgrach uradzili pańy za chłopką skórą wojować — i dużo mojego serca i mojej juchy już poszło na pańskie wystugi Co za to? Ni woli, ni ziemi, a jak się trafiła okazya, dziedzic do kancelaryi przyzwał, nie patrzył na krzyże, a po gębie bił... Młody córkę mi zwiódł, honorem nadgrodził...

Zasmiął się stary, aż chłód po gromadzie szedł.

— I co chceta? Myślita z garścią a kosą Polskę zwojować, bo obiecuje szlachta, a niech ino wygra, wnetki wam „jeszcze Polska nie zginęła“ na skórze wypisze!

Zadumała się chwilę gromada, ktoś mruknął nieśmiało:

— Księża z ambony głosili, że grunt na wieczyste idzie, robocizna do woli, a kto do nich przystanie, temu...

— A juści, juści! Ino im wierza. To już dawniej bywało, nie nowotny to wymysł. Jak naczelnik w sukmanę się przebrał, zara takie gadki w lud poszły. Toć mi ociec powiadał.

— Zaś ksiądz po próznicy by bajał?..

Stary zamyślił się chwilę.

— At, głupia, mój Drożdzie, i wy, Pękowski, głupi, a czegośta własnym rozumem nie doszli, ja

nie nauczę...—machnął ręką i powlókł się w pole.

— Toć prawda, że wojował on dużo, — któryś z gospodarzy potwierdził.

— I bez to taki zawzięty.

W powietrzu na wczesną wiosnę już szło, a choć po bruzdach, po dołkach jeszcze śnieg leżał, nie spodziewano się chłódów. Wody zbiegły już z gór, czarne ptactwo w lasy zapadło, ruszyły z mateczników niedźwiedzie, a chłop około owsa i żyta jarego się krzątał.

Ale niesporo z robotą, gdy w myślach troska zasiądzie, i markocij się baby, że ino pogwarki a medytacje mężów zajmują, z czego żadnego profitu, jeno zmartwienie, bo wiadomo, że chłop nigdy na dobre po łbie się nie drapie i nie chodzi sierdzisty a chmurny, jak zaś na przyźbie godzinami siedzi, kozikiem nic do rzeczy struga, — pewne nieszczęście.

A znaki na niebie—co wieczora to inne: to krzyż, to siekiera, to oko złociste. Jakieś ci dziady, mądre okrutnie, po chałupach chodzą, nic nie zabierze taki, a jeszcze papier ostawi, także rządca nie bije, dziedzic na rolę nie chytry, młody na dziewczuchy nie łasy, i tak ci we wszystkim odmiana—może na lepsze, ino, że chłopcy coś radzą. A nad czem, nie mdły babski rozum, a choć która ze starszych miarkuje co nieco, ktoby tam zaś czego dopytał.

Wej, starv Grzybowski—toć mądrzejszego chłopca nie potrza, a głó-

wę zwiesił, zasumowany okrutnie. i ciągle w polu, to ucho do boru odwróci, to na drodze coś wypatruje. Musi nieszczęście idzie od miasta, bo co złęgo, to od miasta zawsze. I od boru coś idzie a huka.

Ale i staremu także nie wesoło na myśli: klnie a pomstuje, tylko że bez ulgi, cosić na wnętrzu go ssie. Wie stary dobrze, co to huka po lasach, lecz nie odzywa się w sercu ochotą, bo tam żalów zebrało się wiele, wszystko wyżyły, nawet gdy raz we wsi chłopca obwiesili kozacy, nie przejęła go liłość.

— Sprawiedliwie ci tak! Rola chłopaska je rzecz, a wojna pańska zabawa,—i dobrze, bo chłop wojny niegodny, a sznura zwyczajny.

I co dnia wypatruje zawzięty Grzybowski, kiedy przyjdzie pomsta kozacka, paniczków, co hukają po kniei, na pikach rozniesie. Imedytuje stary, jak to bór osaczy piechota, wej, na górkę zatoczą armaty, a kozacy do środka—do środka...

I uśmiecha się stary, i rad.

Ale bez odmiany wcale, cosik na wnętrzu go ssie...

— Bo dlaczego nie idą? powinni już być.

Zmogło go już to oczekiwanie: w dni kilka postarzał—i do jadła gust stracił, aż gdy nareszcie nad traktem od Kielc podniósł się płowy tuman—i sunął, chłop rękę za sukmaną aż wraził, tak załomotało w nim serce, jakby na śmierć.

— Idą!

Potem ręką oczy od słońca przysłonił, w dal patrzył.

— Kupą, ale równo idą.

Podbiegł, jak młody, na wzgórek; jeszcze mu nisko, na kopiec się wdarł, a gdy z pyłu wyłaniać się zaczęły wyraźne cienie i blaski, szeptał:

— Przodem szpica dragoniska, piechota za nią... Równo, juhy, idą.

— Za niemi armaty: dwie. cztery; kozaków ze dwa sta,—sprawiedliwie tak!..

I aż przysiadł Grzybowski. Pomsta gra w duszy, rozpiera.

— Za chłopską krzywdę! Za ojca, za dziada! Jak dobrze lewe skrzydło założą a ruszą, żywa dusza nie ujdzie przez błota! Sprawiedliwie tak!

A traktem ciemny, górą srebrzysty, wąż sunie. Miękkie blaski kasków, bagnetów skry w rzędach, za niemi spój migotliwy, a dalej jasne budy furgonów przewalają się w piachu.

Grzybowski oczy wparł w pochód.

— Żywa dusza nie ujdzie. A wszystko bez głupstwo, bo komu to kosą wojować, z czapkami na armaty iść?

I zadumał się stary, głowę na ręce pochylił, snując powoli dawne wspomnienia. Cisnęły się jedne przez drugie, wypływały z myśli jasne, wyraźne, to znowu bezładnie tłoczyły się w mózgu, zapomniane przyćmione.

DCN

Stefan Krzywoszewski.

## PRZYWÓDCA.

Akt I.

Dramat w 3-ach aktach.

MARYA. Potrafi cały wieczór przesiedzieć i nie otworzyć ust. Pamięta pan, kiedy były te panie z Warszawy?

KAZIMIERZ (*uśmiecha się*). Tak...

LUDKA. Ja wcale nie znajduję, żeby pan był nieśmiały... (*z fabryki wychodzi paru robotników*).

ROBOTNIK (*do drugiego*). Co on tam nowego powie? (*spostrzegając Kazimierza*) A... przepraszamy... (*wychodzi wraz z towarzyszem*).

MARYA (*nieszadowolona*). Władzio niepotrzebnie się rozgadał...

LUDKA... Jabym tak chciała go posłuchać...

KAZIMIERZ. Ależ—proszępanią...

(*prowadzi ją do drzwi, które uchyla*). Zróbcie dla pani trochę miejsca... (*gdy otwiera drzwi, słychac, jak Władysław mówi*).

WŁADYSŁAW (*za sceną*). Walka, którą toczymy, musi wprowadzić nas w królestwo wolności? Cóż mamy do stracenia? (*Kazimierz zamyka drzwi i glos Władysława niknie*).

Scena 6.

Marya, Kazimierz.

MARYA (*od niechcenia*). Podoba się panu nasza kuzynka?

KAZIMIERZ (*z naiwnym zachwytem*). Niezwykła kobieta!

MARYA (*przykro zdziwiona*). Niezwykła?

KAZIMIERZ (*lekko zmieszany*). Tyle wdzięku, tyle... dobroci, słodocy.

MARYA (*pogardliwie*). W gruncie rzeczy dość pospolita... Gdy ją pan pozna bliżej, dozna pan rozczarowania. Umysł zupełnie przeciętny.

KAZIMIERZ (*dotknęty*). Pani wszędzie upatruje tylko złe i brzydkie.

MARYA (*patrzy nań uważnie*). Naprawdę się panu podoba?

KAZIMIERZ (*zmieszany*). Nie wiem, jak to pani rozumie.

MARYA. Fi, panie Kazimierzu, przecież pan *nie jest* zwykłym człowiekiem! Dlatego, że świeży buziak...

KAZIMIERZ (*j. w.*). Proszę pa-

ni... Ja przez jedną chwilę nie myślałem...

(*Ludka wraca, gdy otwiera drzwi, słysząc słabe okłaski.*)

Scena 7.

Ciężko, Ludka, później — Władysław, Szulc.

LUDKA (*żywo pod wrażeniem*). Nie miałaś słusności. Władzio bardzo dobrze mówi... Teraz skończył właśnie. Jest tylko trochę patetyczny... (*wchodzi Władysław*). Otóż i sam mówca (*podchodzi do niego*). Brawo! Winszuję! Choć się wcale z tobą nie zgadzam (*ciągnie go w polczki*).

WŁADYSŁAW (*wadowywy komplemtem*). Słyszałaś?

LUDKA. Zakończenie.

WŁADYSŁAW (*j. w.*). I naprawdę... podobało ci się?

LUDKA. Zupełnie szczerze... Nigdy nie przypuszczałam...

WŁADYSŁAW (*jak gdyby chciał pokazać żonę, że ona nie ma racji*). Widzisz. Ludka mówi, że dobrze...

MARYA (*niechętnie*). El... co ona tam wie... No, teraz już czas na obiad (*do Kazimierza*). Więc nie pójdzie pan z nami?

KAZIMIERZ. Nie mogę... Bardzo przepraszam.

MARYA. Do widzenia...

WŁADYSŁAW. Do widzenia!

KAZIMIERZ (*ściska pod nogami dłoń Ludki, trochę uroczyście*). Żegnaj panią.

LUDKA (*z uśmiechem*). Pewno wkrótce się zobaczymy... (*gdy wychodzą drzwiami na podwórze, z fabryki wychodzi Szulc. Kazimierz idzie do okna i patrzy za idącą Ludką. Szulc idzie za nim*).

Scena 8.

Kazimierz, Szulc.

SZULC (*patrzy w okno*). Piękna! prawda?

KAZIMIERZ (*klóry go nie widział, drgnął pomieszany, jak gdyby usłyszał głośno to, co myślał w tej chwili*). Co? a... to pan... (*odwraca się od okna*).

(*Zastona spada*).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

## AKT II.

(*Scena przedstawia skromne i niegusłowne umeblowanie pokój jadalny. Kredens, stół, krzesła gęste, jakiś jeden oleodruk, młotem eszeczuisca brzydota, nie rozjaśnionymi temi drobiazgami, które zwalniają obecność kobiety i które czynią mieszkunice pełnem i zamieszkałem. Dwoje drzwi, z lewej strony i w głębi. Z prawej strony dwa*

*okna. Wieczór czerwcowy, okna otwarte. Stół nakryty jeszcze obrusem po skończonym obiedzie.*

Scena 1.

Mary, Ludka, Władysław.

(*Ludka krzela się między kredensem a stołem, Władysław pali papierosa*).

LUDKA (*wesoło*). Jabym za żadne skarby nie zgodziła się na takiego stolownika. Nigdy nie przyjdzie o właściwej porze, zawsze zostawiać, odgrzewać...

WŁADYSŁAW (*tonem obrony*). Prosił, żeby na niego nie czekać, że wcale nie przyjdzie... Tem bardziej, że wiedział, iż Mania i ja mamy dzisiaj wieczorem robotę... Ja nastawałam koniecznie, żeby przyszedł—o jakiegokolwiek porze... Więc jeśli czyja wina, to tylko moja...

MARYA. Bardzo dobrze zrobiłeś. My przecież z Łomęckim nie będziemy przestrzegać ceremonii.

LUDKA (*j. w.*). Ten człowiek nigdy nie ma czasu zjeść obiadu! Wy wszyscy zresztą tacy sami... I w domu ma być porządek! Co ja mam z wami! (*zmienia ton*). Któż mi zabrał moje kwiaty?

MARYA (*wskazuje stolik w kącie*). Tam są.

LUDKA. W takim kącie! Mój wspomniał bukiel! Boże, Ty widzisz to i nie grzmisz! (*nagle wybuch głośnym śmiechem*). Nie, ja sobie przypomnę... (*wyzy*).

WŁADYSŁAW (*mimowoli porównuje jej wesołość, uśmiecha się*). Z czego się tak śmiejesz?

LUDKA (*śmiejąc się*). Lebyś ty słyszał Borskiego! (*nieśladuje*). Z obdartusami ostatniego rzędu całą noc... proszę pani. To są żarty, prozę pani, które można życiem przypłacić. Ludzie bez wychowania, bez żadnych skrupułów (*śmieje się*).

WŁADYSŁAW (*uśmiecha się*). Ja całej tej historii jeszcze dobrze nie rozumiem.

LUDKA. Szedł spokojnie, nagle słyszysz za sobą hałas... Odwraca się... Garuniewicz i Szulc chwytają go za ręce.—Pan hrabia z nami? I pociągają go za sobą, lecają, potem puszczają, sami rozpraszają się w bocznych uliczkach. Borski zostaje, nie wiedząc, czego od niego chcą, i w tej chwili patrol aresztuje go... Zanim się wytłomaczył, musiał 24 godzin przesiedzieć... Rzekniesz, to jest więcej, niż nieprzyjemne. Żart bardzo dotkliwy i przykry... ale żebyście widzieli jego minę! (*śmieje się*). Wstyd mi, że zamiast go

żałować, nie mogłam się wstrzymać od śmiechu...

MARYA (*pali papierosa*). Cóż go żałować! Inni, stokroć więcej warci od niego, siedzą miesiące i lata.

WŁADYSŁAW (*rozweselony*). No... ale wiedzą przynajmniej, za co... Choć to prawda, że niezawsze...

LUDKA (*j. w.*). A Brukwa... (*nieśladuje*). Dawniej na wiosnę młodzi ludzie bawili się w zielone, jeździli na majówki... Teraz, proszę pani, takie sobie zabawki urządzają! Zgroza pomysleć (*śmieje się*). Pocciwy Brukwa. Ja go tak lubię.

MARYA (*wzrusza ramionami, sucho*). Dziwnie lokujesz swoje sympatie... (*wstaje*). W czym może być taki Brukwa sympatycznym.

LUDKA. Bardzo pocciwy. (*Maryja wychodzi, Ludka przekładła kwiaty w wazonie, do Władysława*). Wiesz, tu u was za mało światła—i dlatego trochę smutno.

WŁADYSŁAW. Zapalę drugą lampę... (*wstaje i zapala lampę*). Ale ja ci powiem... u nas nie dlatego smutno... Ja nie wiem...

LUDKA. Ja lubię dużo światła. Żeby było jasno.

WŁADYSŁAW (*w głosie tajony wyrzut*). Mania nie dba o to... Ją dom nie obchodzi... (*Jakby ją chciał bronie*). Ona... wszystkie swoje myśli koncentruje gdzieindziej...

LUDKA. To tak przyjemnie mieć własny dom, miły, zaciszny. Czuję się u siebie...

WŁADYSŁAW. Jabym także lubił... Lecz dom robi kobieta... Ja nie potrafię (*z westchnieniem*). Ach! gdyby Mania, jak ty... Ale co ona kocha? (*po chwili*). Czy ty ją rozumiesz, powiedz?

LUDKA (*kludzie mu rękę w ramieniu, ze szczerem współczuciem*). Ty, jak dawniej... nie czujesz się szczęśliwym?...

WŁADYSŁAW. Bo cóż się zmieniło? Czekam zawsze dobrego słowa, jak zmiłowania... Co ja mam wreszcie robić? (*ogląda się w drzwi, kómi wyszła Maryja*). Ona w głębi duszy mną pogardza... Jestem pewny. Jabym wszystko zrobił, żeby ją poruszyć, żeby ją zadziwić! Nigdy... Nie wiem, czy to możesz pojąć... choć ona jest moją żoną, ja jej nie mogę zdobyć, ona nie jest moja, wymyka mi się wciąż, jest obcą, daleką... Raz, przed laty—zdawało mi się... Ale nie... To jest męka! (*z lekkim westydem*) Ja nie tylko ją kocham, ja się w niej kocham... (*patrzy niespokojnie Ludce w oczy*). Nie śmieję się...

jeszczem nikomu tego nie mówił... ale tobie...

LUDKA (*serdecznie*). W tem, co mówisz, tkwi ból, a szczerzy ból może budzić tylko szacunek... Mnie się здаje, że się uprzędasz... Mania żyje życiem wewnętrznym, nie umie wydobyc z siebie na zewnątrz tego... tego ciepła... Jakżeby ona mogła ciebie nie oceniać? Ty jesteś taki dobry!

WŁADYSŁAW. Ja nie jestem dobry, nie...

LUDKA (*głaszcze go po twarzy*). Jesteś...

WŁADYSŁAW. To ty jesteś bardzo dobra i widzisz dlatego we wszystkich dobroć (*wchodzi Mury*).

MARYA. Cóż za czuła scena! (*do Ludki*). Chcesz obudzić we mnie zażdrość?

WŁADYSŁAW (*wprowadzony w wesełszy nistrój*). To byłby daremny trud. Ale ja znam kogoś, co gdyby nas tak zobaczył...

LUDKA (*udaje, że nie rozumie*). Ja nie znam nikogo...

WŁADYSŁAW (*wesoło*). Nie udawaj. Wiesz dobrze.

MARYA (*cierpko*). Może i mnie wtajemniczycie w te sukcesy.

DCN.

Robert Hichens.

## OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

Gdy Dominika chodziła tak wzdłuż platformy pomiędzy handlarzami owoców, przewodnikami, tragarzami w turbanach ze swemi noszami, gapiącemi się dziećmi i obdartymi podróżnymi, którzy tłoczyli się do pociągu, myślała o pustyni, której była już tak blisko. Wiedziała, iż leży ona poza tą straszną twierdzą skał, która tu oto przed nią. Nie mogła atoli dojrzeć otworu. Spiętrzone wierzchołki skał, poszarpane jak zęby wilka, odciły się surowo od czystości przecznej nieba. Tu i owdzie, ukryte w ciemności gardzieli u ich stóp, były ich usta, od których szedł ów czarowny oddech, rżących wolnością i nieziemskimi rżaczami. Słońce już się chyliło, i światło, jakie rzucało, stawało się łagodnym i romantycznym. Wkrótce stanie się wieczór na pustyni. A potem—noc. I ona będzie tu w tej nocy ze wszystkimi rzeczami, które ma w sobie pustynia.

Sznur wielbłądów przeciągnął po białej drodze, która spuszczała się w cień gardzieli. Prowadziło je kilku dziko wyglądających ludzi, nawołujących bez ustanku „oosz, oosz!”. Zniknęli — ludzie pustyni ze swemi zwierzętami pustyni, dążący niewątpliwie w podróż obłąkującą poprzez obszary słońca. Gdzie wreszcie wyładują swe jęczące wielbłądy? Domini ujrzała ich w środku niziny, krwawej od ogniów umierających zachodu. Cienie ich leżały wzdłuż piasków, jak rzeczy zmęczone i odpoczywające.

Drgnęła na głos, który ozwał się do niej po francusku. Obejrzawszy się, ujrzała dorodnego chłopca arabskiego, przepyszenie ubranego w białe błękitne sukienki spodnie, w kurtkę żuawską, obramowaną złotem, i w fez — stojącego tuż koło niej. Uderzył ją kolor jego skóry, który był smagły,

jak kolor kawy mlecznej, i kontrast pomiędzy jego olbrzymią budową i tęsknością, prawie niewieścią, jego obejścia. Gdy się odwróciła ku niemu, uśmiechnął się do niej łagodnie i wskazał ręką ku twierdzy skał.

— Pani widziała już kiedy pustynię? — zapytał.

— Nigdy jeszcze, — odrzekła Domini

— To ogród zapomnienia, — mówił wciąż niskim głosem, delikatnie cieniując słowa i prawie z załotnością... — W pustyni zapomina się o wszystkim — i o serduszkach, które się kocha, i o pragnieniu własnej duszy.

— Jakżeż to się staje? — spytała Domini.

— Szal-làh. Wola Boża. Nic się już nie pamięta.

Oczy jego były utkwione w olbrzymie wierzchołki skał. Było coś fanatycznego i wysoce wyobraźniowego w tem spojrzeniu.

— Jak masz na imię? — spytała Domini.

— Batucz, pani. Pani do Beni-Mora?

— Tak jest, Batucz.

— Ja też. Dzisiejszej nocy, pod drzewem mimozy, skomponuję poemat. Będzie on skierowany do Ireny, tancerki. Podobną jest ona do młodego księżycy, który po raz pierwszy wychodzi z ponad drzew palmowych.

Pociąg od Beni-Mora właśnie był wtoczył się na stację, i Domini odwróciła się, szukając swego wagonu. Gdy się już zbliżyła do niego, zauważyła, z niepokojem tych samolubnych podróżnych, którzy nie chcą być niepokojeni, iż człek wysokiego wzrostu, obsługiwany przez tragarza Araba, niosącego zielony worek podróżny, był u drzwi wagonu, z zamiarem widocznym wejścia do niego. Gdy

Domini podeszła, właśnie obejrzał się, jakoś niezdarnie podał się w tył, jakby pragnąc ją przepuścić, i naraż raptownie sam wskoczył tuż przed nią. Arab podał mu worek, i człek ów, pragnąc w pośpiechu wsunąć mu nieco drobnych do ręki, upuścił monetę, która upadła pomiędzy stopnie wagonu i platformę. Arab natychmiast rzucił się chciwie na poszukiwanie, zajmując ciałem swem przestrzeń pomiędzy pociągami i Domini—tak, iż zmuszona była stać oczekując, podczas gdy ów grzebał się bronzowymi paluchami w ziemi, wyrzucając głuche okrzyki, widocznie w złości. Przez ten czas wysoki człek złożył swój worek na siatce, udał się spieszenie na dalsze miejsce przedziału i siadł, wyglądając przez okno.

Domini uderzyło niezdecydowanie i pośpiech niepewny podróznego wraz z brakiem dworskości. Najwidoczniej nie gentleman to, pomyślała, poszedł by bowiem za pierwszym odruchem i dałby jej przejść pierwszej do wagonu. Zdała się atoli, że jakby postanowił sobie być niedworskim, siadł bowiem odwrócony niezłomnie od drzwi, nie zwracając zgoła uwagi na Araba, chociaż pociąg miał ruszyć za chwilę. Domini była bardzo zmęczona i poczęła się złościć, a nawet czuć pogardę. Arab nie mógł znaleźć monety — tymcz-sem trąbka znów się ozwała, ostrzegając o odejściu pociągu. Był wielki czas wejścia do wagonu, jeżeli nie chciała zostać w El-Akbara. Zamierzyła przejść przez grzebiącego się Araba, lecz gdy krok postąpiła, ów nagle powstał, wskoczył na stopień wagonu i, ciałem swem wpół się wchylając, wie drzwiami wejściowe, począł wyrzucać potok słów po arabsku do podróznego. Trąbka znów zadźwięczała i wagony szarpnęły

w tył przygotowawczo, by ruszyć w drogę do Beni-Mora.

Domini chwyciła Araba za krótki kaftan europejski, który miał na sobie, i rzekła po francusku:

— Proszę mnie puścić natychmiast! Pociąg rusza!

Arab jednakże, kierowany widokiem otrzymania monety wzajemian za utraconą, nie zwracając na nią uwagi, w dalszym ciągu krzyczał i gestykułował. Podróżny rzekł coś po arabsku. Domini znów ogarnęła złość. Chwyciła Araba za kaftan, użyła całej swej siły i pchnęła go gwałtownie ode drzwi. Ów zatoczył się na platformie i upadł w pobliżu. Zanim się opamiętał, Domini wskoczyła do wagonu, który w tejże chwili ruszył.

Gdy weszła, podróżny, który sprawił całą tę przykrą przygodę, był wychylony ciałem ze srebrną monetą w dłoni, jakgdyby z zamiarem wyjścia. Domini rzuciła ku niemu pogardliwy wzrok, ów zaś szybko obrócił się znowu ku oknu i wyjrzał, chowając jednocześnie monetę do kieszeni. Ciemny rumieniec okrył jego twarz, nie wyrzekł atoli przeproszenia, a nawet nie zadł sobie trudu zaszczerpienia klamki od drzwi.

— Co za gbur! — pomyślała Domini, wychylając się przez okno, by zamknąć drzwi.

Gdy odwróciła się od drzwi, zabezpieczywszy je klamką obaczyła, iż wagon był pełen bladego zmierzchu. Pociąg wszedł w garsziel śladami karawany wielbłądów, którą była widziała uprzednio. Nie zwracała już uwagi na swego towarzysza i uczucie ostrego gniewu przeciw niemu zagasło na chwilę. Piętrzące się skały rzucały olbrzymie cienie, mrok gęstniał, pociąg, zwiększając pośpiech, zdawał się lecieć naprzód w objęcia nocy. W powietrzu był chłód rzeźki. Domini chłonęła go swymi płucami, wciąż i wciąż bardziej niecona, wstrząsana, sycona jego żywotnością i mocą duchową. Była świadoma, że bierze go w siebie namiętnie, jakby — dajmy na to — trzymała wargi na ustach i piła bytu jakiegoś żywiołu najlepszego. Zapomniała świeżej przykroci i człowieka, który ją był zgłotał. Zapomniała o wszystkim w tem jedynem wrażeniu. Nie miała czasu spytać siebie: „Dokąd idę?”. Czuła się jakby niesioną przez fale, w lico morzu, cudowi, niebezpieczeństwu nawet — szemrzącego niewiadomego. Skały chyliły się naprzód; zęby ich odrzynały się na niebie; zamykały pociąg, precz żo-

nąc słońce i świat ze wszelkiem życiem, które w nim. Chwytała szum wartki wałających się wód pod sobą, kruszonych ław, pokrytych szczątkami, jak ławy złomów zużytych; głazów potupanych, spiętrzonych w dzikim nieładzie, jakby tu były wyrznięte przez świat jakiś podziemny lub niecone w zapalczowości z nieba; uciekających kształtów drzew owocowych, morwowych i morelowych, palm i oleandrów; ciemnych żółtych ścian stłoczonych, koloru piołunu, niezamąconych i cichych. Dziwne wrażenie rosnącego zimna i mroku powstawało w niej, a hałas pociągu stawał się pusty, drażony i zdawał się rozciągać, jakby chciał gwałtem przedrzeć się przez nawiśnięte skały i znaleźć wylot w przestrzeni. Wpadając, rósł on gwałtownie, gniewnie w uszach Domini, kłócąc się, przecząc, głosząc, dowodząc. Ciemność stawała się podobną do ciemności koszmaru. Wszystkie drzewa zniknęły, jakby pierzchyły w strachu. Skały zamknęły się, jakby chciały zgnieść pociąg. Była chwila, że Domini zamknęła oczy, jak w oczekiwaniu strasznego zderzenia, którego nie podobna uniknąć.

Otworzyła je na falę złota, z której twarz ludzka patrzyła, jak twarz patrząca z samego serca słońca.

### III.

Padł na nią blask od pustyni z płomiennem bogactwem barw, od pomarańczowo zabarwionych skał i pierwszych piasków pustki dzikiej; od płowych wiosek, lśniących w promiennych blaskach wieczoru i jak z bronzu rzeźbionych, od pierwszych palm na oazach, z głęboką ich zielenią, niby fala morska, i ruchomych, jak fale: pierwsze cuda żarów Sahary i przestworów Sahary.

Przestąpiła złote wrota i weszła do niebieskiej krainy, ujrzawszy jej lico i przez chwilę wzruszona cudownem przeobrażeniem całego tego świata, patrzyła nań z naiwnością, jak na nowe widoki, ze słońcem, z potężnymi skałami, głuchymi wioskami i gęstymi drzewami, oczom jej objawione, i nie łaczyła tego z niczem, dotychczas widzianem. Było to dla niej już częścią obszarów tej dziwnej i wspaniałej pustyni. Dla chwili było to wszystko.

W nieokielzanej grze złotych blasków widziana twarz zdała się być bladą. Była to szczupła twarz, podłużna raczej, z wyraźnymi, wy-

bitnymi rysami, z orlim nosem; usta równe z czerwonymi wargami i silnie wydatnym podbródkiem. Oczy były piwne, prawie żółtawe, z ciękawymi centkami ciemniejszego koloru; mocno czarne źrenice i ciemno okolone tęczówki. Rzęsy były bardzo długie, a brwi gęste i mocno zgięte. Czoło wysokie, przy skroniach nieco wypukłe. Twarz była bez zarostu, starannie ogolona. Koło ust szły dwie lekkie rysy. Patrząc na nie, Domini myślała o cierpieniach ciała i duszy i o rycerzach średniowiecznych. Pomimo wspaniałego jaśnienia zachodzącego słońca, zdawało jej się, że cień pada na tę twarz.

To było wszystko, co Domini zauważyła, zanim czar zmiany i olśnienia raptownie minęło — zanim spostrzegła się, że patrzy w twarz człowieka, który tak szorstko obszedł się z nią na stacyi w El-Akbara.

Świadomość ta otrząsnęła ją ostatecznie — i pomyślała, że wyraz jej musiał się zmienić raptownie, gdyż ciemna łuna przeszła po szczupłych policzkach cudzoziemca i podniosła się aż do jego chmurnego czoła. Wyjrzał przez okno i poruszył niezręcznie rękoma. Domini zauważyła, że dziwnie nie licowały one z twarzą. Choć czysto utrzymane, wyglądały raczej na ręce robotnika, twarde, szerokie i opalone; palce jednak były delikatne i artystycznie wykrojone.

Domini zaobserwowała to szybko, lecz razem spostrzegła, że sąsiad jej nieprzyjemny jest świadomych obserwacji. Niemilem jej to było, gdyż drobna ta okoliczność jakby łączyła ich nikłymi węzłami. Zerwała je, przestając spoglądać ku niemu i myśleć o nim.

Okno było otwarte. Delikatny i ciepły powiew szedł od gaju palmowego. Dołem biegła droga koło woski; byli na niej ludzie; starsi grali w kamienie na piasku znaczonej; kobiece postacie ukazywały się na płaskich dachach i u drzwi przydrożnych; dzieci pędziły stada kóz. Jakiś człek piękny, podobny do Chrystusa, z długimi włosami i kędzierzawą brodą, uderzał łaską w ziemię i zawodził bezdźwięcznie; nikt nie zwracał na niego uwagi. Szaty miał zielone i czerwone.

DCN.

